

7 W drugą rocznicę śmierci Jana Pawła II (2 kwietnia 2007)

Pochwalony Jezus Chrystus ... W imię Ojca ... Ojciec nasz ... Stolico Mądrości ...

Drodzy państwo, o ile od ponad 20 lat, od 21 lat nasze wspólne spotkania, konferencje nazywane konferencjami biblijnymi zawsze budzą mój szczerzy szacunek, uznanie, podziw dla państwa za cierpliwość w słuchaniu, uczestnictwie, w woli, tym pragnieniu wyjścia z domu i uczestniczenia w tych konferencjach, o tyle to, co dzisiaj się dzieje, ma dla nas wszystkich wymiar absolutnie szczególny i wyjątkowy. Bo zbieramy się, gromadzimy się wspólnie w drugą rocznicę śmierci Ojca Świętego Jana Pawła II. I oczywiście nie sposób sobie wyobrazić innego scenariusza niż ten, byśmy w tej wyjątkowej godzinie wrócili jeszcze raz myślami, pamięcią, słowami, wspomnieniami, sercem do jego osoby i jego pontyfikatu. I żebyśmy w ten sposób uczcili naszego wielkiego rodaka, także Chrystusowego Namiestnika, i byśmy w ten sposób, także gdzieś tam z głębi swoich serc, ze swojego wnętrza wydobyli te nuty, te odcienie, te niuanse, które chcielibyśmy dzisiaj przede wszystkim do Pana Boga skierować.

Dzień jest wyjątkowy. I proszę mi wierzyć, zastanawiałem się od czasu naszego ostatniego spotkania czemu poświęcić to spotkanie. Bardzo długo chodziła mi w głowie myśl, by poświęcić je refleksji nad męką Pana naszego Jezusa Chrystusa, czyli żeby w Wielkim Tygodniu, na początku Wielkiego Tygodnia dokonać takiej biblijnej refleksji nad opisami męki i śmierci Zbawiciela. Nawet do wczoraj jeszcze nosiłem się z tą myślą. Ale od wczoraj, gdy atmosfera staje się coraz bardziej intensywna, kiedy nasza zbiorowa pamięć społeczna, publiczna również, w środkach masowego przekazu, coraz bardziej nas scala, jednoczy, integruje, to oczywiście wydawało mi się rzeczą zupełnie stosowną a nawet potrzebną, byśmy raz jeszcze nawiązali do Jana Pawła II i byśmy zastanowili się, w gruncie rzeczy, nad jego miejscem w naszym życiu. Trudno jest mówić o papieżu dlatego, że bardzo wiele zostało o nim powiedziane. Nie chciałbym więc, żeby w całości było to powtórzenie myśli, które państwo znają. Ale z drugiej strony nie sposób przecież uniknąć pewnych wspomnień, powtórzeń, które muszą się pojawić, bo chodzi o życie i o pontyfikat tego jednego konkretnego człowieka i o nasze z nim związki. Można by dzisiaj szukać różnych kluczy do tego pontyfikatu tak jak mamy różne klucze do kilku zamków w drzwiach po to, żeby otworzyć to samo wejście. Ta różnorodność kluczy jest bardzo widoczna dookoła, także w naszych świątyniach.

Można byłoby zacząć od samego początku. Raz jeszcze zwrócić uwagę na niezwykle biografię Karola Wojtyły, a potem Jana Pawła II. Można byłoby zacząć od samego początku, który już doskonale znamy, a więc od maja 1920 r., od Wadowic, od dzieciństwa, od młodości. I w tych początkach jest coś, co — można by powiedzieć — ogarnia i spaja życie młodego Karola Wojtyły, mianowicie jest to obecność cierpienia. Zwracaliśmy uwagę na to wiele razy. Bardzo wcześnie stracił matkę, bardzo wcześnie stracił swojego brata, stracił drugiego brata, stracił także ojca. Stracił ojca w niezwyklej okolicznościach, bo powrócił w okresie okupacji z pracy do domu i zastał ojca martwego. Pisał o tym w swoich wspomnieniach. Musiało to być dla dwudziestoparoletniego Karola ogromne przeżycie. Kiedy pochował ojca, napisał, że nie ma już nikogo bliskiego jak tylko ciotkę, która jest z dalszej rodziny. A więc miał wrażenie już wtedy, że Pan Bóg go w jakiś przedziwny sposób ogołocił z bliskich po to, żeby mógł poświęcić się temu, czemu się poświęcił całkowicie.

Moglibyśmy mówić o latach okupacji, niezwyklej przecież, i o wielkich fascynacjach Karola Wojtyły. O fascynacjach polską kulturą, polskim językiem, romantyzmem, o jego zaangażowaniu w teatr, życie uniwersyteckie, akademickie. Wszystko to brutalnie przerwała II wojna światowa.

Moglibyśmy mówić o niezwyklej okolicznościach jego święceń kapłańskich. Otrzymał je sam, otrzymał je w uroczystość Wszystkich Świętych 1946 roku. I można byłoby tutaj dopatrywać się, i kiedyś próbowaliśmy to robić, analogii z innym wielkim Polakiem, mianowicie kardynałem Stefanem Wyszyńskim, który również swoje święcenia kapłańskie otrzymał sam, i to po wszystkich już kolegach. A biskup, który go miał święcić, a za chwilę wyświęcił, zwracając się do niego wyraził swoją wątpliwość, czy z takiego chorobliwego księdza może być jakiś pożytek na dłuższą metę. Taką też wątpliwość wyraził kościelny katedry we Włocławku. Okazało się, że ten pożytek był, i kościelny na szczęście racji nie miał.

Moglibyśmy wspominać i mówić o rzymskiej drodze Karola Wojtyły, o jego kapłaństwie, o tym, że bardzo wcześnie został biskupem — też w niezwyklej okolicznościach. Moglibyśmy mówić o tym czasie, kiedy był arcybiskupem metropolity krakowskiej, kardynałem, kiedy był uczestnikiem

Soboru Watykańskiego II. A więc pisał historię Kościoła, i Kościoła w naszej Ojczyźnie również. Moglibyśmy zatem poświęcić się omawianiu tamtego życia, tego życia przed pontyfikatem, i to by nam zajęło bardzo wiele czasu. Tych biografii powstało mnóstwo. Oglądaliśmy również zdjęcia i można by powiedzieć, że w jakiś sposób przyzwyczailiśmy się do tego wszystkiego i się z tym opatrzyliśmy.

Można byłoby wreszcie skoncentrować się na samym pontyfikacie. Można byłoby powrócić myślami przede wszystkim do tego, co wyznaczało początek i koniec tego pontyfikatu. A więc raz jeszcze wrócić myślami do 16 X 1978 r., aczkolwiek to już jest historia, bo prawie 30 lat temu i wyrosło pokolenie, dla którego nie są to wspomnienia ale prawdziwa, spisana historia, przejmowana z podręczników, z opowiadań, a więc przejmowana z drugiej i z trzeciej ręki. Ja myśląc o tym, o początkach pontyfikatu, nie mogę powstrzymać się przed jednym wspomnieniem, które zawsze, bardzo często mi wraca. Mianowicie opowiadałem o tym kiedyś państwu, i dzisiaj jeszcze raz to przywołuję, że na bardzo krótko przed konklawe do Instytutu Polskiego w Rzymie, gdzie mieszkałem, na ulicy Pietro Cavallini, przybył kardynał Karol Wojtyła, a ponieważ kardynał Wyszyński tam przebywał podczas swoich pobytów rzymskich, to obaj przyszedli do refektarza, do miejscowej jadalni na posiłek. Obaj wspólnie jedli obiad. To był dosłownie przedostatni dzień przed pójściem na konklawe. I oczywiście w takiej luźnej rozmowie, bo była tam tylko mała grupa księży, pytano o to, jaki będzie rezultat tego konklawe — tak, ak gdyby ktokolwiek wtedy mógł ten rezultat przewidzieć. I pod koniec obiadu wstał kardynał Wyszyński i zaczął mówić, że trzeba aby Kościół miał znowu papieża. Dlatego że to, co się wydarzyło, było swoistym szokiem. Jan Paweł I sprawował pontyfikat tylko 33 dni i dlatego potrzeba wybrać nowego papieża po to, żeby Kościół mógł nadal żyć i oddychać. I że papież, który zostanie wybrany, papież, którego kardynałowie wybiorą, to będzie Jan Paweł II. A będzie tak dlatego, ponieważ misja Jana Pawła I nie doczekała się spełnienia, nie została zwieńczona. Jan Paweł II zatem podejmie dzieło Jana XXIII i Pawła VI, swoich wielkich poprzedników, i podejmie także dzieło Jana Pawła I. I mówił jeszcze kardynał Wyszyński dłużej na ten temat. A kardynał Wojtyła siedział tak bardzo mocno wciśnięty w krzesło, nogi wyciągnięte bardzo daleko pod stół, z głową zwieszoną na piersi, i tego wszystkiego słuchał. A kiedy kardynał Wyszyński skończył, to kardynał Wojtyła podniósł się i mówi: „No to chodźmy!” I takich właśnie mam ich w oczach obydwu, jak wstawali i wychodzili z tego refektarza, i mieli się wkrótce udać na konklawe. Potem za parę dni z tego konklawe powrócił kardynał Stefan Wyszyński. Ten, który powiedział na krótko przed, że papież to będzie Jan Paweł II, aczkolwiek zapewne nie przeczuwał ani nie myślał, że ów przyszły Jan Paweł II siedzi obok niego, siedzi tuż, tuż. Więc to jest takie wspomnienie, które mi się bardzo nasuwa.

Moglibyśmy wrócić więc do początków pontyfikatu i przypomnieć sobie te pierwsze zdjęcia, które obieły świat miliony i miliardy razy być może, i to historyczne „Habemus papam”. I moglibyśmy rozważać sens tego, co się wydarzyło w Wiecznym Mieście właśnie wtedy.

Moglibyśmy przetrząsnąć się na drugi kraniec i moglibyśmy raz jeszcze przypomnieć okoliczności śmierci i pogrzebu Jana Pawła II. Każdy z nas ma tutaj własne wspomnienia, a jednocześnie nasze doświadczenie, zwłaszcza doświadczenie Polaków, jest bardzo głęboko wspólne, głęboko ze sobą połączone z tej przyczyny, że te wszystkie wspomnienia przeżywaliliśmy w bardzo podobny sposób. Moje wspomnienia dotyczące tego etapu umierania i śmierci Jana Pawła II są prawdziwie dramatyczne. Państwo je w gruncie rzeczy znają. Otóż wtedy od dłuższego czasu była przygotowywana pielgrzymka księży studiujących w Rzymie do Egiptu na Synaj i do Ziemi Świętej. Miałem tę pielgrzymkę prowadzić. Do Rzymu przyjechałem w Poniedziałek Wielkanocny po to, aby nazajutrz wyruszyć z tymi księżmi do Egiptu i na Synaj. Oglądałem też przedtem, w samą Wielkanoc, państwo też może pamiętają, te obrazy telewizyjne papieża, który nie był w stanie nic powiedzieć. I pokazywano go właśnie po mszy św. wielkanocnej, i nie mógł zrobić tego błogosławieństwa „Urbi et orbi”. Miałem takie przecucie, że to już jest sprawa dni, a może nawet sprawa godzin. Że to już jest koniec pontyfikatu. Dlatego, z bardzo ciężkim sercem polecałem do Rzymu. Kiedy przyjechałem do Rzymu, tam z kolei panowała taka opinia, że nie — że zdarzało się, że Ojciec Święty już wiele razy był w takim stanie, bardzo trudnym i bardzo ciężkim, że zdążyli się do tego nawet niejako przyzwyczaić, i że wszystko będzie dobrze. Mówiąc szczerze byłem tym strasznie zdziwiony. Byłem zdziwiony tym, że jakoś ta myśl o odejściu, o śmierci, nie jest jakby dopuszczana. Wydawało się mi to czymś niezbyt normalnym, a nawet, ja bym powiedział dosadnie, niezbyt chrześcijańskim.

Bo wydawało mi się, że stan Ojca Świętego jest taki, że trzeba poważnie liczyć się z tym, że to może być koniec pontyfikatu. Kiedy więc we wtorek, zaraz po Świętach, wyjeżdżaliśmy z Rzymu, lecieliśmy do Kairu, muszę powiedzieć, że właściwie całym sercem byłem w Rzymie i wydawało mi się, że wydarzy się coś, co będzie strasznie trudne. Każdego dnia będąc w Egipcie, będąc na Synaju dowiadywaliśmy się o stan Ojca Świętego z przekazów telewizyjnych i radiowych. Sam moment śmierci zastał nas na Synaju. Kiedy się o tym dowiedzieliśmy — była to tylko grupa księży, 40 księży — zapanował nastrój absolutnej żałoby. Dramatyczne było dla mnie, myślę, że dla tych młodych księży też, to, że przeżywaliśmy to wszystko z daleka od Polski. Nie było chyba dnia w moim życiu, w którym bardziej niż wtedy chciałem być w Polsce, tzn. wśród bliskich, wśród wiernych z którymi się spotykamy w niedzielę, wśród innych ludzi, wśród Polaków. Dlatego, że przeżywanie tego parę tysięcy kilometrów od domu niosło za sobą bardzo duży, olbrzymi ból. Naza jutrz, w niedzielę rano, udawaliśmy się z Egiptu do Izraela. Przekraczaliśmy granicę. W Egipcie, na Synaju — to jest szczerą pustynia — tej świadomości, kim jest papież, tak mocno nie było, chociaż ci miejscowi wiedzieli, że papież zmarł, i wiedzieli, że to jest człowiek ważny, i że ważny jest dla nas. Natomiast kiedy dotarliśmy na granicę, Izraelczycy byli dla nas wyjątkowo uprzejmi i wyjątkowo dobrzy. Powiedzieli od samego początku, że zdają sobie sprawę z tego, kim dla nas jest papież. A kiedy dowiedzieli się, że to jest grupa księży, to bez żadnych pytań i bez żadnej kontroli — co było wtedy nienaturalne — przepuścili na drugą stronę. Tam żeśmy sięgnęli po gazety. I pamiętam pierwszy napis w izraelskiej gazecie, ogromnymi literami, kwadratowym pismem wypisano: Atiflor met czyli „Papież umarł”. I te słowa były napisane na $\frac{3}{4}$ strony. I kiedyśmy sobie uświadomili, że papież nie żyje, uświadomili sobie już w tym świecie, który jest nam bliższy, to oczywiście wszystko to, co przeżywaliśmy, było jeszcze głębsze, jeszcze pełniejsze, jeszcze — można by powiedzieć — bardziej dramatyczne. Nie chciałbym wspominać następnych dni, chociaż właściwie pamiętam je z telegraficzną dokładnością.

Natomiast chciałbym odnieść się do jednej chwili, która pozostała na całe życie i która zrobiła się jakoś symbolicznie wymowna. I być może to była ta jedna chwila, dla której musieliśmy być poza Rzymem, a w Ziemi Świętej — tak przynajmniej na to wygląda. Otóż ta chwila to jest pogrzeb Jana Pawła II. Ten pogrzeb odbywał się w piątek, a dopiero w sobotę, naza jutrz, mieliśmy wracać z Ziemi Świętej do Rzymu. Więc oglądaliśmy ten pogrzeb zapewne tak, jak ogromna większość państwa — w telewizji, i widzieliśmy ten sam przekaz. Właściciel hotelu zadbał, żeby telewizor był bardzo duży. Zadbał o to, żebyśmy mieli przed tym telewizorem to, co nam potrzeba, zadbał o jakąś wodę, o napoje, o herbatę, o kawę. Okazywał nam ogromnie dużo serca. Widział, że tych 40 mężczyzn, z których ogromna większość to ludzie koło trzydziestki, a dwóch nas było starszych — rektor Instytutu i ja, widział, że my przeżywamy to w sposób, który jest jakoś nieopisany. W związku z tym umożliwił nam przeżywanie tej żałoby, za co zawsze jesteśmy mu bardzo wdzięczni. A kiedy uroczystości pogrzebowe dobiegały końca, kiedy zobaczyliśmy tę trumnę wnoszoną do Bazyliki św. Piotra, autobus grzał już silnik, weszliśmy do autokaru, i za dosłownie 12 minut, bo patrzyłem na zegarek, byliśmy w Kościele Prymatu Piotra nad jeziorem Galilejskim. Czyli byliśmy w tym miejscu, w którym Jezus powierzył Piotrowi władzę pasterską. Byliśmy tam jedyną grupą, właściwie jedynymi ludźmi. Dlatego, że inni — jeżeli to byli chrześcijanie, katolicy — oglądali transmisje telewizyjne z pogrzebu w różnych miejscach, tam, gdzie było to dostępne. Natomiast my staliśmy się jedyną grupą, która w momencie, kiedy ciało papieża było składane do podziemi bazyliki watykańskiej, była nad Jeziorem Galilejskim. Mieliśmy tę wodę obok, pod nogami, w miejscu, w którym Chrystus pytał Piotra: „Czy ty Mnie miłujesz?” i usłyszał trzykrotne „Panie, Ty wszystko wiesz, Ty wiesz, że Cię miłuję”, i w którym Piotr usłyszał od Chrystusa: „Paś baranki moje!” Te słowa były jednocześnie cytowane przez kardynała Józefa Ratzingera na mszy świętej pogrzebowej, w homilii pogrzebowej — i myśmy w tym miejscu stali! Może więc, powtarzam, było tak, że musieliśmy znieść ten Egipt i ten Synaj, i tę rozłąkę, i tę nieobecność w Polsce, tę prawdziwie dramatyczną nieobecność po to tylko, żeby w ciągu tego krótkiego czasu, ok. godziny, być właśnie tam, w tym wyjątkowym miejscu, i być jako rodacy Ojca Świętego, nad Jeziorem Galilejskim. Tak w każdym razie to traktuję.

Każdy z nas patrzy na pontyfikat Jana Pawła II w sposób bardzo osobisty. Bo nawet ci wśród nas, którzy są najmłodszy, to nawet oni mają swoje wspomnienia, skojarzenia, czasami zdjęcia, fotografie — czasami u stóp Ojca Świętego, czasami w Watykanie, czasami tutaj w Polsce. Mamy my wszyscy jakieś skojarzenia i wspomnienia, które się z papieżem łączą, i każdy z nas mógłby

coś ciekawego powiedzieć, co by się składało na taką wielką księgę życia Jana Pawła II gdzieś tam w naszych sumieniach i w naszych wnętrzach. Moglibyśmy rozważać najważniejsze elementy czy najważniejsze momenty z życia, z pontyfikatu papieża. Z pontyfikatu nie sposób ich wyliczyć. Ale tak dramatyczne, jak zamach na życie Ojca Świętego, tak ważne, jak rozmaite spotkania międzyreligijne, jak przygotowania do Wielkiego Jubileuszu, jak przeżywanie Wielkiego Jubileuszu Roku 2000.

Myślę, że wśród tych wspomnień szczególne znaczenie mają te, które wiążą się z cierpieniem papieża. Dopiero teraz, z książki kardynała Stanisława Dziwisza, dowiedzieliśmy się, że pierwsza diagnoza o tym, że Jan Paweł II cierpi na chorobę Parkinsona, pojawiła się już w pierwszej połowie lat 90-tych. Otóż tego nie wiedzieliśmy, nawet nie dopuszczaliśmy tej myśli, jeżeli jakieś skojarzenia się budziły. Ale od tamtej pory stan zdrowia Ojca Świętego systematycznie się pogarszał. Można by powiedzieć, że był ogołaczany ze wszystkiego, co miał, co lubił. Nie były to rzeczy materialne — lubił przyrodę, lubił jeździć na nartach, lubił korzystać z życia, z jego uroków w tym najlepszym tego słowa znaczeniu. Choroba sprawiła, że musiał z tego wszystkiego zrezygnować. Lubił podróżować, lubił rozmawiać, lubił się spotykać, lubił się uśmiechać — także i z tego wszystkiego miesiąc po miesiącu musiał zrezygnować. Lubił się poruszać, lubił wszędzie być obecny, wychodzić do ludzi, brać dzieci na ręce — i z tego też musiał zrezygnować. Kolejne operacje, kolejne pobyty w szpitalu. Do tego stopnia, że pod koniec lat 90-tych na pół żartobliwie, a na pół boleśnie powiedział, że ma właściwie trzy Watykany. Jeden to ten Watykan z placem św. Piotra, drugi to Castell Gandolfo, gdzie rezyduje, a trzeci to Poliklinika Gemelli. I że między tymi trzema Watykanami rozgrywa się jego życie. I tak już pozostało do końca tego pontyfikatu, przy czym coraz więcej miejsca zaczął zajmować ten Watykan numer trzy, do którego po raz pierwszy trafił w maju 81 r., a później już trafiał wielokrotnie.

Ja pamiętam szczególnie mocno, jeżeli chodzi o ten aspekt pontyfikatu, wydarzenie, które bardzo przeżyłem. Mianowicie 15 grudnia 2001 r. Ojciec Święty przyjął doktorat honoris causa od Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Miałem zaszczyt chodzić koło tego doktoratu, przygotowywać tę uroczystość, a potem być na tej uroczystości, kiedy Ojciec Święty ten doktorat zechciał przyjąć. Nazajutrz zostaliśmy zaproszeni w gronie rektorów, i bp Piotr Jarecki, zostaliśmy zaproszeni do papieża na obiad. To była niedziela, 15 XII. Nie sposób sobie wyobrazić tego, kiedy człowiek wchodzi do Watykanu i przechodzi już nie na sale audiencyjne, te, na które od czasu do czasu mogą trafić ludzie zaproszeni na audiencję z papieżem, tylko kiedy przechodzi się do apartamentów papieskich, tych najbardziej prywatnych, i wchodzi się w te okna, które widzimy z Placu św. Piotra, i stamtąd ogląda się Plac św. Piotra. To jest naprawdę widok wstrząsający. Pamiętam, że stałem przy oknie i patrzyłem na Plac św. Piotra, na Bazylikę św. Piotra, na ludzi, którzy tam przychodzą, aby oglądać papieża, aby czekać na niego, aby modlić się za niego. I w pewnym momencie podszedł bp Dziwisz i patrząc na to moje zapatrzenie — nawet go nie zauważyłem — w pewnym momencie je przerwał i pyta, co tak myślę. Podzieliłem się jakimiś myślami, m.in. i tym, że teraz, za tego pontyfikatu, pisze się absolutnie historia. Historia, która nigdy się nie powtórzy. I zapytałem go, jak on się czuje w tej historii. Odpowiedział mi mniej więcej tak — że nigdy te mury watykańskie nie słyszały tyle języka polskiego, co za pontyfikatu Jana Pawła II, że do niego się zdążyły niemal przyzwyczaić, zdążyły się go nauczyć. Ale że to nie będzie trwało wiecznie. I że pewnie nigdy, za naszego życia na pewno, ten czas się nie powtórzy. Zatem każda taka chwila tego pontyfikatu to jest wielki dar. I stałem, patrzyłem na Plac św. Piotra, i w pewnym momencie już było wiadomo, że jest czas obiadu. Ojciec Święty zwyczajem ludzi gościnnych, wielkich, zwyczajem staropolskim wyszedł, aby nas powitać. Czynił tak zawsze, nie był to żaden specjalny gest wobec nas, ale gest wobec każdego, kto był gościem papieża. I czekaliśmy, żeby podchodzić do Ojca Świętego. Wyszedł na korytarz, na taki mały korytarzyk, który przylegał do tego maleńkiego refektarza. I widziałem z jakim trudem opierał się jedną ręką o taką małą komodę. Z wielkim trudem stał. Po raz pierwszy, patrząc z bliska na tego człowieka, w którego oczach i na twarzy było widać ogromne cierpienie — był to rok 2001 — uzmysłowiłem sobie, że właściwie jest to już teraz pontyfikat cierpienia. I tak właśnie patrzyłem na ten pontyfikat do samego jego końca. Ojciec Święty starał się podać rękę, ucałowaliśmy tę rękę z szacunkiem. Patrzyliśmy na papieża, a papież z wielkim trudem wszedł również do tej jadalni. Tam usiadł i uczestniczył w naszej rozmowie poddając pewne wątki, pewne tematy, o których trzeba było rozmawiać, o których chciał czegoś więcej się dowiedzieć. I

jednocześnie zauważyłem wtedy wyraźnie, że nie może wypowiedzieć wszystkiego, co by chciał. Że to go krępuje. Ta niemoc wywołuje u niego dodatkowe cierpienie psychiczne bo ma pełną świadomość, że chce wypowiedzieć jakieś słowo, jakieś dłuższe zdanie, złożyć te sylaby w całość, żeby one brzmiały dobrze, poprawnie, po polsku — a jednocześnie ma z tym wielkie trudności. W związku z tym musi mówić krótko, musi mówić zdawkowo. Patrzyłem na to, i — przyznam szczerze — że to właśnie ten moment, ta chwila zbliżyła mnie do papieża najbardziej. Bo uświadomiłem sobie, że mniej teraz będzie znaczyło to, co papież robi, i mniej będzie znaczyło to, czego papież uczy. Natomiast najwięcej będzie znaczyło to, jak papież cierpi. Cały schyłek pontyfikatu stał się, w gruncie rzeczy, wielkim świadectwem cierpienia.

Moglibyśmy o tym wszystkim mówić jeszcze bardzo dużo. Moglibyśmy te wątki na różne sposoby i w różnych kierunkach rozwijać. Moglibyśmy posłuchać wielu innych przykładów tej bliskości, w której papież okazywał się kimś wielkim i pokornym zarazem. Ale przyszło mi do głowy, żeby podczas dzisiejszej refleksji zachować się trochę tak, jak zachowuje się człowiek po utracie kogoś bardzo, bardzo bliskiego. Myślę, że każdy z nas przeżył taki moment. Ten moment jest bodaj najtrudniejszy, wg. moich doświadczeń, w dwóch chwilach. Jedna — to sam dzień śmierci, kiedy człowiek wraca do domu, kiedy próbuje się położyć, próbuje spać. I próbuje sobie uświadomić, że oto ktoś bardzo bliski zmarł. I próbuje się oswoić z tą myślą. Ale wtedy — ja myślę, że to niemal wszyscy ludzie mają, a może wszyscy, bo wiele razy słyszałem to świadectwo — kiedy człowiek próbuje sobie zadać pytanie: Czy uczynił wszystko, czy zrobił wszystko żeby temu, zmarłemu już teraz, pomóc? Czy był dla niego wystarczająco dobry, czy był wystarczająco wyrozumiały? Ileż to razy jest tak, że potem powraca do nas myśl, że gdyby nam przyszło zacząć raz jeszcze, albo towarzyszyć raz jeszcze w tych ostatnich miesiącach, tygodniach, dniach, to byśmy zrobili to zupełnie inaczej? To byśmy dali z siebie znacznie więcej? To byśmy odłożyli to wszystko, co jest nieistotne, po to, aby się skupić, skoncentrować na tym, co jest naprawdę najważniejsze. Druga taka chwila, zupełnie podobna, to jest dzień pogrzebu. Kiedy już żałobnicy się rozejdą, kiedy rozejdzie się rodzina, kiedy rozejdą się inni najbliżsi, kiedy człowiek próbuje zgasić nocną lampkę i próbuje się położyć, znów wraca ta świadomość że ktoś jego bliski już od tej pory nie nocuje w domu, ani nie ma go pośród nas. Nawet nie ma jego ciała w szpitalu czy w kościele, w kaplicy czy gdziekolwiek, tylko że po raz pierwszy jest w miejscu, które oznacza ten stan po drugiej stronie życia. I raz jeszcze wraca to poczucie, że stało się coś absolutnie nieodwracalnego. A skoro stało się to coś absolutnie nieodwracalnego, bo już nigdy nie zobaczymy jego czy jej twarzy, nigdy nie będziemy mogli rozmawiać, nigdy nie będziemy mogli się poprawić, nigdy nie będziemy mogli zrobić nic dobrego. Bo skończyło się nawet to, że oddaliśmy nawet tę ostatnią przysługę.

Ten właśnie paradygmat, ten wzorzec żałoby najbardziej osobistej, wobec której każdy z nas kiedyś stanął albo stanie jeszcze, otóż ten model żałoby chciałbym przenieść na nasze rozważanie w drugą rocznicę śmierci Ojca Świętego Jana Pawła II. Mianowicie chciałbym, żebyśmy sobie uświadomili prostą prawdę, że z jednej strony gdyby — ale to „gdyby” jest absolutną historią wirtualną — gdyby ten pontyfikat raz jeszcze się powtórzył za naszego życia, właśnie ten pontyfikat, gdybyśmy raz jeszcze w nim brali udział, to byśmy spróbowali inaczej. To byśmy spróbowali jeszcze bardziej serdecznie, jeszcze bardziej świadomie. To byśmy chętniej odpowiadali na to, co papież mówił, czego papież dokonywał. Więc gdybyśmy mogli raz jeszcze towarzyszyć papieżowi, może bylibyśmy mądrzejsi, może bylibyśmy lepsi.

I ta myśl druga. Papież, jego ciało spoczywa w grotach watykańskich. Otóż nigdy go już tu nie będzie między nami, nigdy go nie zobaczymy. Widzimy go tylko w przekazach telewizyjnych co czasami nas troszeczkę ogłupia, bo tworzy wrażenie, że nic wielkiego się nie stało. Ten przekaz telewizyjny to jest oczywiście ponawianie tylko czy przywoływanie rzeczywistości, której nie ma. Otóż nie będzie już papieża między nami! Nie będzie go z nami, bo to jest niemożliwe — w taki sposób, w jaki był obecny. A więc musimy nauczyć się żyć bez niego. Tak jak musimy nauczyć się żyć bez matki, bez ojca, bez męża, bez żony, bez brata, bez siostry, bez dziecka, bez kogoś bardzo bliskiego wtedy, kiedy ta żałoba na nas przychodzi. Więc musimy się nauczyć żyć bez Jana Pawła II. Jakże ciężko to nam wszystkim przychodzi, to widać doskonale przez te dwa lata. Ileż w tym czasie okazało się potencjału słabości, ileż okazało się potencjału zła, niechęci, jątżenia, podejrzliwości. Wszystkiego tego zła, które można byłoby długo wylizywać w litanii. Ale zło ma to do siebie, że bardzo lubi, gdy się o nim mówi, więc połączmy temu tamę. Te dwa lata były dla nas bardzo trudne

i pozostają bardzo trudne. Musimy przejść pewnie przez tę próbę, czyli musimy nauczyć się na nowo, i musimy szukać na to jakiejś recepty, jakiegoś klucza, jakiejś pomocy, jakiejś drogi i jakiegoś wyzwolenia. A przede wszystkim musimy szukać tej przedziwnej, teraz już duchowej, obecności Jana Pawła II i również pamięci o nim.

I dlatego chciałbym, mając to na względzie, chciałbym, żebyśmy spojrzeli na ten pontyfikat zwłaszcza pod kątem głęboko polskim. To znaczy żebyśmy króciuteńko, na ile to jest możliwe, przypomnieli sobie te pobyty Jana Pawła II wśród nas. To, czego uczył. Droge, którą nam zalecał. Po to tylko, właśnie dziś, w drugą rocznicę, żebyśmy wiedzieli na jakim fundamencie mamy budować. Chodzi bowiem o to, żeby to, co dzisiaj przeżywamy, było nie tylko poruszeniem emocji, było nie tylko egzaltacją, było nie tylko — chociaż to bardzo piękne — lżą wzruszenia i pamięci. Ale żeby także temu towarzyszyła głęboka wiara, a wraz z nią dobre postanowienia, a przede wszystkim dojrzałość chrześcijańska. Świadomość tego, że nawet jeżeli nie jesteśmy lepsi, to staramy się być lepsi. Spójrzmy zatem wstecz, bo te pielgrzymki Jana Pawła II wyznaczają etapy nie tylko naszej najnowszej historii, ale wyznaczają również etapy w jakimś sensie naszej pracy nad sobą. Czasami pracy zaniedbanej, czasami odłożonej, czasami jakoś lekkomyślnie potraktowanej, ale przecież ciągle ona była obecna.

Ojciec Święty przybył do nas po raz pierwszy w czerwcu 1979 r., to już jest prawdziwa historia, 28 lat temu. Żeby to pamiętać, żeby mieć skojarzenia, trzeba dzisiaj w gruncie rzeczy mieć ok. 40 lat, pod czterdziestkę. Dlatego że ktoś, kto miał wtedy trzy, cztery, pięć, sześć lat oczywiście niewiele pamięta. Była to pierwsza pielgrzymka papieska w dziejach naszej ojczyzny. A od razu tak się stało, że był to papież Polak. Ja myślę, że jedna rzecz nam wtedy chyba wszystkim umknęła — mianowicie świadomość tego, kim Jan Paweł II jest. On jest — był — dobrym człowiekiem, wspaniałym chrześcijaninem, biskupem, kardynałem, poetą, dokonał bardzo wiele: uczonym, teologiem, wykładowcą. Można by jeszcze pewnie jeszcze mnożyć dalej przymiotniki i określenia, które Jana Pawła II dotyczą. Ale najważniejsze jest to, że był następcą św. Piotra i Namiestnikiem Jezusa Chrystusa. Taki człowiek jest zawsze tylko jeden, dzisiaj Benedykt XVI. Pośród miliardów ludzi, pośród ponad miliarda katolików, pośród milionów wierzących, pośród setek tysięcy księży i biskupów — ten jeden jedyny. Jedyny, który niesie na sobie ciężar jarzma Chrystusowego, ale jednocześnie jego słodycz. I papież przybył do nas. Przybył do nas, żeby nam wtedy powiedzieć o rzeczach najważniejszych. I tą rzecz najważniejszą, o której nam powiedział, można by streścić do słów, które zostały wypowiedziane w Warszawie i powtórzone w Gnieźnie. Mianowicie, że Kościół dał Polsce Chrystusa. I że Chrystus jest największym darem Kościoła dla Polski. Słowa te zostały wypowiedziane jeszcze w okresie tzw. PRL-u. Jeszcze w tym okresie, kiedy mówienie publiczne o sprawach religii nie było dobrze widziane. Nie zawsze jest dobrze widziane również dzisiaj, ale to jest sprawa osobna. Te słowa zostały wypowiedziane w tym okresie, kiedy Chrystus, Bóg, sprawy Boże były wypierane z życia publicznego. Papież to powiedział wyraźnie. I powie jeszcze, że właśnie z tym przeświadczeniem wyjechał z Polski do Watykanu. I jego pierwsza encyklika była poświęcona właśnie Chrystusowi. Chrystusowi, który jest Odkupicielem człowieka. Cały pontyfikat Jana Pawła II jest i był ukierunkowany na Jezusa Chrystusa. Papież był tak jak drogowskaz, który wskazuje drogę którą szły miliony ludzi. Dzisiaj Benedykt XVI na mszy św. celebrowanej o godz 17³⁰ podczas homilii użył bardzo pięknych słów zaczerpniętych ze św. Augustyna, którego zresztą Benedykt XVI bardzo lubi i często cytuje. Jak państwo wiedzą dzisiejsze czytanie, wyjęte z Ewangelii, przewidziane na Wielki Poniedziałek, to jest czytanie o tym, jak w domu Marii i Marty przebywając Jezus doświadczył gościnności polegającej na tym, że wzięto cały dzbanuszek alabastrowy wonnego olejku, złamano tę główkę, i wylała kobieta go hojnie na głowę Jezusa. „A cały dom” dodaje ewangelista „napenił się wonią, napenił się miłym zapachem”. I Benedykt XVI powiedział tak:

Dzięki Janowi Pawłowi II, za pontyfikatu Jana Pawła II cały Kościół, cały świat napenił się miłą chrystusową wonią. Ten papież był świadkiem Chrystusa, który pozwolił nam odczuć radość z bliskości z Chrystusem.

To była pierwsza pielgrzymka. Pierwsza pielgrzymka, podczas której ukazał centralną rolę i miejsce Chrystusa w naszych dziejach. Powiedział wyraźnie, że nie było Polski innej niż ta, która zaistniała wraz ze chrztem i której osią jest Jezus Chrystus. Dlatego też na Placu, wtedy Zwycięstwa, wołał głośno:

Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi, tej ziemi!

Odnowi oblicze tej ziemi, czyli na powrót zbliży ją do Chrystusa, do Ewangelii. Te słowa okazały się pod wieloma względami bardzo, bardzo owocne. Kiedy wspominamy je dzisiaj, w drugą rocznicę śmierci Jana Pawła II, to powinniśmy zapamiętać rzecz jedną. Mianowicie najważniejsze miejsce w naszym życiu duchowym, religijnym, osobistym, społecznym powinien zajmować Jezus Chrystus. Życie człowieka o tyle ma sens, o ile jest ukierunkowane na Niego. Miłość człowieka o tyle ma sens, każda miłość – ta pomiędzy ludźmi, o ile prowadzi nas do życia z Nim. Wszystko to, co nas łączy i to, kim jesteśmy, i w ogóle to, że jesteśmy ludźmi, czyli stworzenie — ono jest zakorzenione w Odkupieniu, które przyniósł Jezus Chrystus. Albo życie człowieka ma sens, albo nie jest nic warte. Jeżeli nie jest nic warte, jesteśmy najniešťszeliwsiymi spośród wszystkich istot, jakie istnieją na ziemi. Bo mamy w sobie tęsknotę za nieśmiertelnością, która miałaby się nie spełnić? Gdyby tak było, to życie człowieka stanowiłoby jakąś wielką igraszkę, jakiś wielki żart, jakąś ponurą kpinę — i tak być nie może. Jan Paweł II uczył nas, że fundament naszego życia, i również naszego życia w Ojczyźnie, jest Jezus Chrystus. Warto wracać do tego wątku, warto się nad nim zastanowić. Wtedy też na Placu Zwycięstwa stali obok siebie dwaj: Jan Paweł II i kardynał Stefan Wyszyński.

Tych dwóch zabrakło cztery lata później, w r. 1983. Kardynał Wyszyński już wtedy spoczywał w bazylice św. Jana. Natomiast Jan Paweł II był niedługo po zamachu na jego życie. Bardzo chciał przybyć do Polski w 1982 roku na 600-lecie obecności cudownego obrazu jasnogórskiego. Ale to nie mogło dojść do skutku dlatego, że był stan wojenny. Podróż papieża, wizyta papieska została odłożona. Przybył zatem w roku następnym, 1983, i pierwsze słowa, które wypowiedział po wylądowaniu w Warszawie, to były słowa:

Pokój Tobie, Polsko, Ojczyzno moja!

Te słowa przyniosły rzeczywiście nam pokój, przyniosły rozmaite elementy pojednania. A papież przemierzając się z miasta do miasta powtarzał bez przerwy słowo „Ojczyzna”. Dawał poznać, że Polska, z której kilka lat temu wyjechał, jest jego ojczyzną, której los jest mu bliźszy, niż cokolwiek innego — poza oczywiście losem Kościoła, któremu przewodzi. To była bardzo wzruszająca podróż, podczas której powtarzał słowa wyjęte z Księgi Wyjścia, i z Pięcioksięgu Mojżesza, i z Ewangelii słowa Mojżesza i słowa Jezusa:

Nie lękajcie się!

I w ten sposób tworzył rozmaite pomosty. Pomagał ludziom zbliżyć się do siebie. Czas był wtedy trudny, ponury. Setki tysięcy Polaków wyjechały ze swojej ojczyzny. Być może i państwo mają bliskich, którzy wyjechali właśnie wtedy, w początkach stanu wojennego. Inni pozostali. Była to wielka pielgrzymka, która budowała nadzieję. I tak się rzeczywiście stało. Myślę, że wobec tego wszystkiego, co się dzieje w Polsce, wobec rozmaitych brudów życia publicznego i politycznego, które czasami wołają o pomstę do nieba, które brudzą i szpecą nas wszystkich, że podstawowym obowiązkiem wszystkich, a przede wszystkim polityków, jest wzgląd na to, czego uczył papież podczas tamtej pielgrzymki. Że te słowa „Pokój Tobie, Polsko, Ojczyzno moja!” stanowią swoisty testament, wobec którego wierność powinni zachować wszyscy, a przede wszystkim rządzący.

Przybył Jan Paweł II po raz trzeci cztery lata później, w 1987 r. A sposobnością okazał się II Krajowy Kongres Eucharystyczny. I Ojciec Świety za motto swojego pobytu w Polsce, za motto swojego pielgrzymowania wybrał słowa:

Do końca nas umiłował.

Do dzisiaj mamy dziedzictwo tej pielgrzymki w postaci pieśni, którą ułożył ks. prof Kądziela i ks. bp Zawitkowski, biskup łowicki, i tę pieśń śpiewamy: „Do końca nas umiłował”. Bardzo piękna pieśń, która ukazała centralną rolę Eucharystii w życiu chrześcijanina. I w gruncie rzeczy właśnie to hasło eucharystyczne towarzyszyło Janowi Pawłowi II podczas jego pobytu w naszej ojczyźnie. Starał się odnowić pobożność eucharystyczną. Czyli starał się, żeby przywiązanie do Chrystusa i wierność Chrystusowi były nie tylko przekonaniem, przeświadczeniem, ale żeby stały się sposobem życia. Żeby stały się wewnętrzną więzią z Chrystusem. Zabiegał o to bardzo mocno.

A tym, co bardzo wstrząsnęło, była jego obecność na Westerplatte i spotkanie z młodzieżą. W tamtych jeszcze ciągle warunkach kończącego się PRL-u, wielkie spotkanie z młodzieżą, podczas której Ojciec Święty powiedział, że każdy młody człowiek musi przebyć, musi przejść, musi stanąć wobec swojego własnego Westerplatte. I że najtrudniejszym rodzajem zwycięstwa, jakie człowiek może osiągnąć, to jest zwycięstwo nad sobą. Zwycięstwo nad tym, co w człowieku złe i gnuśne. To wtedy papież powiedział, w każdym razie dał przykład słowem, że aby poznać dobro, to trzeba je czynić, a żeby poznać zło, to trzeba od niego stronić. I właśnie to nauczanie, te zachęty, te wskazówki, te drogowskazy miały nam wystarczyć na czas przemian społecznych i politycznych, które wkrótce nastąpiły.

Przyjechał papież czwarty raz w r. 1991, również w czerwcu. Wtedy była fala takiego podniosłego entuzjazmu. Zwłaszcza rządzący cieszyli się, że oto mamy papieża, mamy prezydenta którego wybraliśmy, mamy zmiany społeczno - polityczne, mamy dobrą koniunkturę w Europie, mamy dobrą koniunkturę w świecie. W związku z tym wydawało się, że jest aż nadto dużo powodów do świętowania. I temu właśnie narodowi, który wchodził na nowy etap swojej historycznej drogi, Jan Paweł II zaczął przypominać Dekalog. Podróżował z miasta do miasta i mówił o Dekalogu. „Nie będziesz miał bogów cudzych przede Mną”. „Nie będziesz brał imienia Pana Boga twego nadaremno”. „Pamiętaj, abyś dzień święty święcił” — wtedy mówił o świętowaniu niedzieli. O konieczności adoracji Boga, którego trzeba uczcić w dzień odpoczynku po tygodniu pracy. Mówił:

- | | |
|--|---|
| 1. Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną. | 6. Nie cudzołóż. |
| 2. Nie będziesz brał imienia Pana, Boga swego, nadaremnie. | 7. Nie kradnij. |
| 3. Pamiętaj, abyś dzień święty święcił. | 8. Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu. |
| 4. Czcij ojca swego i matkę swoją. | 9. Nie pożądaj żony bliźniego swego. |
| 5. Nie zabijaj. | 10. Ani żadnej rzeczy, która jego jest. |

Powtarzał nam na tych poszczególnych stacjach i omawiał przykazania. I okazało się po raz pierwszy za tego pontyfikatu, że nie wszystkim te słowa się podobały. Jedni powiedzieli, że już je dobrze znają. Inni powiedzieli, że to jest dość staroświeckie w Europie, która jest nowoczesna. Jeszcze inni powiedzieli, że właściwie Ojciec Święty ich zawiódł po raz pierwszy. A więc stawiają Ojcu Świętemu pułap, który w gruncie rzeczy papieża nie dotyczy. Ale papież przez całą swoją pielgrzymkę uczył właśnie tego i doskonale wiedział, co robi. Kiedy wyjechał, te głosy się nasiliły. Nasiliły się ze strony, z której być może, należało się spodziewać. Ale nie odpowiadało to należycie temu, żeby stamtąd przyszło. Okazało się, że i w Kościele są pęknięcia i że pod Kościół podszywają się ludzie, którzy w trudnym okresie jechali, że tak powiem, w tym namiocie Kościoła. Natomiast kiedy koniunktura się zmieniła, raptem potrzebowali nowej swobody, której Kościół dać nie może. Bo w Kościele można troszczyć się o wolność, ale nie o swobodę, tym bardziej o swawolę. I zapanowała swoista konsternacja.

Myślę, że jest to wciąż okres, nad którym warto się zastanowić. Jeżeli ci, którzy wracają do swojego domu po pogrzebie, i kładą się spać, i myślą, jak mogliby się zachować w tych warunkach, gdyby ktoś kochany nadal żył, to myślę że dla nas, wszystkich Polaków, mniej dla ludzi zwyczajnych i prostych, ale więcej dla rządzących — i w Kościele, i we władzach świeckich — jest tutaj obowiązek refleksji nad tym, co się wtedy wydarzyło. Ten swoisty sprzeciw wobec słów papieża i nauczania papieża nie znalazł wtedy takiego oporu, jaki powinien być temu sprzeciwowi dany. Papieża bardzo to bolało. Wiedział o tym. Wiedział, że takie głosy się rozlegają, i bardzo go to bolało.

Kiedy miał przyjechać swoim zwyczajem co cztery lata do Polski, a wypadło to w 1995 r., okazało się, że nikt go tak specjalnie mocno, gorąco nie zaprasza — z władz, co innego zwyczajni ludzie. Okazało się, że są jakieś takie wahania. Jak gdyby wszyscy się przyzwyczaili, że mamy papieża. Ojciec Święty bardzo to przeżył. Faktem jest, że w 1995 r. do Polski na długą pielgrzymkę nie przyjechał. Przebywał tylko kilkanaście godzin, przebywał w Skoczowie, w Bielsku - Białej, i w Żywcu, blisko granicy z Czechami, bo przebywał wtedy właśnie w Czechach, gdzie dokonał kanonizacji błogosławionego Jana Sarkandra. Mówiono nawet tak nieformalnie, ale myślę, że psychologicznie prawdziwie, że papież nie mógł znieść myśli, że byłby tak blisko Polski i do Polski nie przyjechać. Więc przyjechał jak gdyby na własne życzenie, żeby choć trochę otrzeć się o polską ziemię, bo tak

bardzo do niej tęsknił. Zmieniła się w tym czasie władza polityczna, jednego prezydenta zastąpił inny prezydent. I Ojciec Święty miał wrażenie, że Polska przesunęła się znacznie w lewo. Że jego głos nie jest w Polsce słuchany. Były też informacje, które docierały do Ojca Świętego, które wprawiały go w niejaki zakłopotanie — bo nie zawsze informatorzy mieli dobre rozeznanie o tym, co myślą ludzie. I raczej nie odzwierciedlali tego, co wierni myślą, tylko starali się opinię kształtować według swoich własnych priorytetów i swoich własnych zamysłów. Był to chyba najtrudniejszy okres tego pontyfikatu, z tej perspektywy postrzegając.

Ojciec Święty przybył w roku 1997. Był to wtedy pierwszy raz podczas długiej wizyty, podczas której nie przyjechał do Warszawy. Mógł to być przypadek, mógł to przypadek nie być zważywszy, że Warszawa jest siedzibą władz politycznych, i że w tamtej sytuacji mogło to być jakoś dla Ojca Świętego duchowo, wewnętrznie, psychicznie kłopotliwe. Myślę, że to jest znów szczegół, nad którym warto od czasu do czasu się poważnie zastanowić. Niekoniecznie gazetowo, radiowo i telewizyjnie, ale zastanowić się w najgłębszym tego słowa znaczeniu.

Przybył w 1997 r. i ta jego podróż odbywała się w klimacie przygotowań do Wielkiego Jubileuszu Roku 2000. Hasło tych przygotowań brzmiało:

Jezus Chrystus wczoraj, dziś i na wieki!

Własnemu narodowi Jan Paweł II powtórzył to, co powiedział podczas pierwszej pielgrzymki. Mianowicie Jezus Chrystus jest osią dziejów ludzkich, osią dziejów narodu polskiego, osią dziejów każdego człowieka. Życie ludzkie ma o tyle sens, o ile jest ugruntowane i zakorzenione w Chrystusie. Powiedział jeszcze więcej. Tym wszystkim, którzy idą drogą Dziesięciu Przykazań papież wskazuje i przypomina drogę jeszcze lepszą, mianowicie drogę Ośmiu Błogosławieństw. I przypominał Ojciec Święty na poszczególnych stacjach tą właśnie drogę Ośmiu Błogosławieństw pokazując, że jeżeli kogoś stać na to, żeby być dobrym, to powołanie polega na tym, że powinien być bardzo dobry. Nam w głowie i w pamięci zostało wiele z tych stacji, zwłaszcza obecność Ojca Świętego we Wrocławiu. A potem obecność Ojca Świętego w Gorzowie Wielkopolskim. Parę razy przypominaliśmy słowa. Papież wtedy zwrócił się, właśnie podczas tej pielgrzymki w 1997 roku prosząc:

Proszę was na kolanach, abyście się za mnie modlili. Bo mam do tego prawo, bo jestem jednym z was.

I po tej pielgrzymce — przyjmowany serdecznie, przyjmowany zwłaszcza przez górali, w Zakopanem, ten słynny śpiew, te dzieci, ta serdeczność, ta troska — spowodowały, że Ojciec Święty zobaczył, że istnieje silny rozdźwięk pomiędzy tym, co polityczne, a tym, co pochodzi od ludzi. I, myślę, ustąpiły jakiegokolwiek obawy, które zapewne wcześniej jakoś były obecne. I Ojciec Święty poczuł się z powrotem kochany, chciany we własnej ojczyźnie.

Był kochany i chciany zawsze. Tylko, że miłość ma to do siebie, że trzeba o niej mówić. A wydaje się, że wtedy takich zapewnień o wzajemności zabrakło.

Przyjechał przedostatni, siódmy raz Ojciec Święty do Polski w 1999 r. To było już na krótko przed Wielkim Jubileuszem. Papież już był coraz słabszy. Słowa, które wybrał i które nam głosił, okazały się profetyczne, prorockie:

Bóg jest Miłością

— takie właśnie hasło miała ta pielgrzymka. Podróżował papież wtedy w Gdańsku, w Pelplinie, w Bydgoszczy, w Toruniu — wyliczam te miasta dlatego, że Ojciec Święty chciał być w jak największej liczbie miast. Chciał, żeby wszędzie pozostał jakiś ślad obecności papieża. Dzisiaj mówi się, że niepotrzebne są spiżowe pomniki, najważniejsze są pomniki z ludzi. Ale ci, którzy tak mówią, nie zawsze troszczą się, by te pomniki z ludzi były. A występuję przeciw pomnikom spiżowym. Dzięki Bogu, że mamy również spiżowe pomniki, bo one nam przypominają. My musimy mieć znaki orientacyjne, tak jak mamy znaki drogowe. Ktoś może znać Kodeks Drogowy na pamięć ale musi mieć znak, który jeszcze mu to uprzytamnia. Te pomniki są znakiem. Dzięki tym pielgrzymkom mamy pomniki papieża w miejscach, gdzie nigdy do tej pory ich nie było. I być może kogoś skłaniają do refleksji, do zastanowienia, do przemyślenia, do postawienia świeczki, kwiatka, do modlitwy. A kiedyś w przyszłości będą takimi zwornikami. W moim przekonaniu te pomniki są tak jak kapliczki. One będą świadkami naszego czasu. Patrzą więc z podejrzliwością na tych krzykaczy, którym

pomniki się nie podobają. Być może w ich przekonaniu również i kapliczki nie są na tyle estetyczne, żeby można było o nie się troszczyć — ale tego nie odważą się powiedzieć. Więc pomniki są kapliczkami naszych czasów. Dobrze, że one są. Jedna są lepsze, drugie są trochę słabsze, mniej i bardziej udane — bo tacy my wszyscy jesteśmy. Ale Ojciec Święty chciał nawiedzić jak najwięcej tych miast nie ze względu na siebie, bo to nie była wycieczka, tylko ze względu na te tysiące ludzi, którzy w tych miejscach żyją i dzięki którym te miasta również zyskały bardzo wiele. Pamiętamy te bardzo poruszające momenty w Wadowicach, i owe papieskie kremówki. Pamiętamy, że zostało to jako jedno z najsilniejszych i najbardziej wzruszających wspomnień papieża, już wtedy starszego człowieka bo liczącego sobie 78 lat, który wracał pamięcią do krainy młodości. Takie wspomnienia, wyliczające okoliczne wzgórza, wycieczki, sklepy, i kremówki właśnie.

Ostatnia papieska podróż miała miejsce w dniach od 16 do 19 sierpnia 2002 r. Trwała tylko trzy dni, a i to zastanawiano się czy powinna mieć miejsce dlatego, że Ojciec Święty czuł się bardzo, bardzo słabo. Przyjechał do Polski i odwiedził to, co było dla niego wewnętrznie i osobiście najważniejsze. Zobaczył Kraków, zobaczył sanktuarium w Kalwarii Zebrzydowskiej. I nawiedzając to sanktuarium w Kalwarii Zebrzydowskiej powtórzył słowa, które wypowiedział kilka lat wcześniej w Gorzowie. Ale do tych słów dodał coś nowego. Mianowicie:

Proszę

powiedział w Kalwarii Zebrzydowskiej

żebyście się za mnie modlili, teraz i po mojej śmierci.

To jest fragment papieskiego testamentu wypowiedzianego w Kalwarii Zebrzydowskiej. I osiągnęła ta pielgrzymka swoje apogeum w krakowskich Łagiewnikach, w sanktuarium Miłosierdzia Bożego. Ojciec Święty był wielkim czcicielem Bożego Miłosierdzia, i to sanktuarium zostało w szybkim tempie wybudowane po to, żeby on jeszcze zdołał je konsekrować. I tam właśnie, w tym sanktuarium wypowiedział wielkie słowa o Bożym Miłosierdziu. To była ostatnia pielgrzymka papieska. Kiedy Ojciec Święty miał opuścić Polskę, miał spotkanie na krakowskich Błoniach. I podczas tego spotkania, na krótko przed wyjazdem, powiedział tak:

Chciałbym dodać: „Do zobaczenia!” Ale to już jest całkowicie w Bożych rękach. Pozostawiam to bez reszty Bożemu Miłosierdziu.

A kiedy wchodził do samolotu, który miał go odwozić do Rzymu, to ostatnie słowa, jakie zanotowano na progu drzwi papieskiego samolotu an lotnisku w Balicach – Ojciec Święty odwrócił się i powiedział:

A na koniec — cóż powiedzieć? Żal odjeżdżać!

I z tymi słowami drzwi papieskiego samolotu zostały zamknięte.

Kiedy papież, starszy człowiek, mówi krótko, lakonicznymi, krótkimi słowami, to znaczy, że sprawy są bardzo ważne. Człowiek, który cierpi. człowiek, który coś przeżywa, nigdy nie buduje długich zdań, mówi krótko. I papież też wypowiedział krótko to: „Żal odjeżdżać!” Z tymi uczuciami opuścił Polskę. Nigdy już potem do Polski nie wrócił.

Mijają dwa lata od jego śmierci. I myślę, że przypomnienie tych papieskich słów to jest chyba najlepsze zwieńczenie tego, co dzisiaj wszyscy przeżywamy. Może też kiedy przyjdzie 21³⁷, to ta refleksja pobudzi nas do pamięci, ale nade wszystko do wdzięczności Panu Bogu, że staliśmy się świadkami takiego właśnie pontyfikatu i takiego wielkiego życia. Bo najwznioślejszą formą modlitwy, i to w każdych warunkach, nawet wtedy, kiedy odbywa się to przez łzy, najwznioślejszą formą jest zawsze adoracja. Zachęcam więc również państwa, aby kto tylko może to jeszcze na chwilę — na górze jest adoracja Najświętszego Sakramentu — by tam krótką swoją obecnością dopełnił tej naszej refleksji.

A kiedy przyjdzie czas śmierci i wejdziemy w trzeci rok po śmierci Jana Pawła II, to też pamiętajmy, że zaciągnęliśmy zobowiązania, które każdego dnia trzeba spłacać.

Bardzo dziękuję. Następne nasze spotkanie, na które bardzo serdecznie zapraszam, będzie w drugi poniedziałek maja, 14 V. Wrócimy do naszego stałego tematu. Chwała Ojcu ... Wieczny odpoczynek ... Niech odpoczywa ... Pochwalony Jezus Chrystus! Dobrych, radosnych, spokojnych, błogosławionych Święt!